



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.



RÓŻA I JABŁOŃ.

Różyczka zakwitła i woń swą
[rozlewa,
Naokół nięj kwitnie też ziele,
Puch kwiatu jabłoni unosi się
[z drzewa,
Jak śniegiem u róży stóp ściele.

Słoneczko zabłysło promieniami zło-
[temi,
Róża się w szkarłaty odziała,
I rosę strząsnęła z swych liści ku
[ziemi,

I cudną purpurą jaśniała.

Więc dumną też była, a dumną nad miarę.
I z nikim się bratać nie chciała
Szczególniej z jabłonią. „To drzewo już stare”
Z pogardą różyczka myślała.

Ubiegły dni wiosny, a róży ni śladu,
Wiatr rozniósł jęj kwiatów purpurę,
Jabłoń się rumieni, ozdoba jest sadu,
A róża ma liście ponure.

Ach, wtedy poznała, że wdzięk był jęj złudny,
Ze zalet prawdziwych nie miała;
I wiodła swój żywot posępny i nudny,
Gdy jabłoń owocem jaśniała.

Z. Morawska.

POGADANKA NAUKOWA.

ROBAKI I OWADY.

Korzystając z pięknej pogody rodzice Helenki i Kazia, wraz z panem Witoldem, pojechali w niedzielę rano na wieś do krewnych, mieszkających tuż pod Warszawą. Po śniadaniu, pani domu zaproponowała przechadzkę na łąki, na których właśnie skoszono trawę i ułożono ją w duże kopy.

Helenka pierwsza z radością przyjęła projekt ciotki i poskoczyła po kapelusz.

— Chodźmy, chodźmy prędko — wołała — ja tak lubię zapach siana. — W Warszawie, ile razy widzę skoszoną trawę w Łazienkach, tyle razy żałuję, że nie mogę zgarnąć jęj w dużą kopę i usiąść na nięj.

— Zrób tak — żartował Kazio — a nazajutrz będziesz sławną.

— Bez wątpienia, tylko ponieważ o sławę mi nie chodzi, więc ją tobie odstępuję.

— Jaka wspinałomyślna!

Tak się przekomarzając doszli do wielkiej lipowej alei, która łany zielonego jeszcze zboża przecinała.

— Fi! — krzyknęła Helenka — jaka brzydka glista, wstrętny robak!

— Nie pogardzaj nią tak, siostrzyczko — odparł Kazio — pan Witold mówił mi, że glisty, to pomocnice rolników.

— A to jakim sposobem? — spytała z niedowierzaniem.

— Kazio ma słuszość, panno Heleno — rzekł pan Witold — te brzydkie robaki wciąż przeżuwiają i rozdrabniają ziemię przez co ułatwiają dostęp powietrza, bez którego ziarno rozwinąć by się nie mogło. To też obecnie, postępowi rolnicy cieszą się, gdy wiele glist znajdują kopiąc ziemię. Przyrodnicy uczą nas także, że owe robaki wyrzucając przetrutą ziemię, zostawiają na niej płyn, który ją użyźnia.

— W każdym razie brzydki to pomocnik — zauważyła nieprzejednana Helenka.

— Mamy wiele piękniejszych — uśmiechnął się pan Witold.

— Piękny czy nie, w każdym razie niewłaściwie został przez pannę Helenę ochrzczony nazwą glisty; ów brzydki robak zowie się właściwie dżdżownikiem, glista zaś oznacza ogólną nazwę pewnej gromady robaków, jeszcze od dżdżownika brzydszych, bo często dla człowieka i zwierząt niebezpiecznych: do nich należą np. tasiecmce, trychiny, motylca i t. p. pasożyty.

— Fe! fe! — wołała Helenka. — Nie cierpię robaków.

— I ja! za nimi nie przepadam — odparł pan Witold. — Skoro jednak istnieją, musimy zachować nadane im nazwy.

— A to co? — spytał Kazio, wskazując na grubą, szarą liszkę — także jakieś brzydkie stworzenie.

— Nie dotykaj tego robaka — wołała Helenka.

— Panno Heleno, liszka do owadów należy — poprawił ją pan Witold.

— Prawda — odparła — zapomniałam.

— Podobne omyłki słyszę codziennie — mówił pan Witold — w ogóle osoby, nie zajmujące się przyrodą, nazywają robakami wszystkie drobne, bezkręgowce zwierzęta, a jednak pomijając różnicę wewnętrznego układu organów, ich braku lub modyfikacji, owady, skorupiaki, pająki, łatwo z zewnętrznego ich wyglądu odróżnić od robaków. Ten ostatni rząd bowiem nigdy niema właściwych członków, stąd wynika, że dla braku nóg i skrzydeł, ani biegać ani latać nie może, wolno mu tylko czołgać się. Niektóre robaki posiadają pseudonóżki pod postacią wyrostków skórnych, na których widzimy często kępki włosów, spotykamy się z niemi głównie u pierścienic. Na każdym pierścieniu po bokach widnieje jedna para takich pseudonózek, czasem widzimy dwie pary jedną nad drugą.

— A poczem jeszcze odróżnić można robaki od owadów? — pytał Kazio.

— Owady są tylko, nawiasem mówiąc, gromadą stawonogich, mój chłopcze, tak jak pająki, skorupiaki i wiję, — objaśnił pan Witold. — Odróżnić jedno od drugich łatwo. Przedewszystkiem, owady mają zawsze mniej lub więcej twarde szkielet zewnętrzny, złożony z chityny i często z niektórych soli wapiennych. Ta chityna właśnie nadaje giętkość ciału owadów, takiego szkieletu robaki nie mają nigdy. Owady mają ciało podzielone na trzy części, głowa, tułów i odwłok, zaś u robaków głowa bardzo pierwotna zaledwie odróżnia się z pozoru od reszty ciała. Wyznać wam też muszę, że cechy

robaków określić, rzecz to wcale trudna. Pomieszczono tu bowiem wszelkie bezkręgowce stworzenia, których w innych działach umieścić nie było można. Stąd do robaków wielu zalicza takie, naprzykład, wrotki, mikroskopijne stworzenia wodne, których szeroką gębę otacza rząd drobniutkich rzęs, będących w ciągłym ruchu. Ten ruch ciągły tworzy pewien mikroskopijny wir w wodzie i do jamy ustnej wprowadza drobniutkie żyjątka, które żywią się, wrotki, zwane także kołowrotkami. Pomiędzy stawonogami najwięcej powierzchownością zbliżają się do robaków *Wiję*, do których należą nasze, znane wam zapewne krocionogi. Istotnie, gdy zobaczymy poza głową ciało złożone z szeregu równych obrączek, przypominających nam robaki pierścienice. Lecz u wijów każdą obrączkę kończy po bokach nóżka stawowata i już ten jeden szczegół stanowczo może zaliczać wiję do stawonogich. Te ostatnie pod względem anatomicznym stoją o wiele wyżej od robaków, mają wyraźny układ krwionośny, którego brakuje robakom, układ nerwowy bardziej złożony, z wypadkiem pasożytnych skorupiaków.

— Co? — zawołał Kazio ze zdziwieniem — więc są pasożytnie skorupiaki?

— Nieinaczej Kaziu, maleńkie skorupiaki żyją sobie między łuskami ryb takich jak karp, okoń, szczupak i wiele innych. Są też i pasożytnie pająki, żywią je ludzie i zwierzęta. Pasożyty owe znajdując na miejscu pożywienia nie potrzebują ani dobrych oczów, ani węchu, ani w ogóle rozwiniętych zmysłów, ani też nóg, by utrzymać się przy życiu. To też organa zmysłów i członki w nich zanikają, pozostaje tylko dobrze do ssania lub gryzienia przysposobiona gęba. Wśród robaków istnieją podobne z sobą dwie grupy: Przywry i Wirki, z tych pierwsze są pasożytami i zdają się być tylko zwyrodniałymi przez sposób życia wirkami. Jest to jeden z dowodów przystosowania się do warunków otoczenia, któremu ulega wiele zwierząt.

— A stonoga, czy też do wijów należy — spytała Helenka.

— Nie, panno Heleno, ze względów anatomicznych stonogę zaliczamy do skorupiaków. Wiję noszą po łacinie nazwę *Miriapedes*, co znaczy tysiąconogie, nasza stonoga zaś posiada tylko siedm par nóg.

Helenka miała jeszcze jakieś zapytanie na ustach, lecz Kazio wyciągnął rękę i zawołał:

— Patrz Helenko! kopy siana!

— Kto z nas pierwszy do nich dobiegnie? — dodał pan Witold.

Puścili się pędem w stronę łąk, i w ten sposób skończyła się pogawędka o robakach i owadach.

Młody przyjaciel dzieci.

Wakacje Kazia.

— Masz Kaziu, weź z sobą moją torbę podróżną, którą w przeszłym roku na imieniny dostałam; jest w niej osobny przedział u samego dołu na grzebienie i wszelkie przybory podobne, umieściłem tam długie akademickie mydło, które, ci pewnie na całe wakacje wystarczy — tak mówiła Frania znosząc ze swoich własnych rzeczy co tylko przypuścić mogła, że się na wsi przyda bratu, który dostawszy promocję do piątej klasy, wyjeżdżał z Warszawy.

Kazio po pracy egzaminowej był trochę mizerny i rodzice z radością odczytali list, zapraszający go do wujostwa, którzy gdzieś pod Świętokrzyskimi górami obszerny folwark dzierżawili. Ale Kazio jakoś bez zapału czynił przygotowania do podróży, a nawet koledze i przyjacielowi zwierzył się, że nie o takich marzył wakacyach.

— Wy — mówił — prawie wszyscy wyjeżdżacie do domu rodziców waszych, gdzie dla was przygotowują różne przyjemności: służący czyści dubeltówkę, koń wierzchowy czeka w stajni na jeźdźca, furman smaruje wózek lekki do dalszych wycieczek, cieśla buduje łazienkę nad stawem, a ogrodnik gracuje ścieżki w parku na wasze przyjęcie. — Ale moi wujostwo, którzy dawniej byli w lepszych warunkach, następnie majątek własny niedawno sprzedać musieli i... ot, posłuchaj lepiej sam, co napisali wyraźnie:

„Wprawdzie na tój dzierżawie, w której nie mieliśmy czasu się zagospodarować, drzewa owocowe dopiero tój wiosny są zasadzone, las dosyć daleko, koni mamy zaledwo tyle ile do obrobienia roli nam potrzeba, nie możemy więc żadnych wyjątkowych przyjemności obiecywać Kaziowi; jeśli jednak świeże powietrze, doskonałe mleko i bardzo życzliwe serca go zadowolnią, to przyslijcie go nam jak najprędzej, żeby odpoczął w Daniłowie”.

Odczytawszy te słowa z listu pocziwych państwa Nideckich, Kazio czuł się w swych nadziejach bardzo zawiedziony. Nie pomyślał nawet, że jest wiele takich dzieci, do których zaliczała się i Frania, które całe lato w gorących murach miasta spędzać muszą, bo rodzice ich nie mogą i nie mają dokąd wyjechać. Gdy nareszcie przy pomocy siostry zebrał wszystkie swe graciki i książki, gdy mu matka starannie uprasowaną bieliznę do kuferka włożyła, a ojciec zaopatrzył w potrzebne na drogę pieniądze, humor mu się poprawił i z przyjemnością usłyszał świst lokomotywy.

— Pisuj-że do nas cotydzien — prosiła matka — ucałuj ciocię i wuja. Bądź zdrow.

— Bądźcie zdrowi! Franiu, pamiętaj o moich gołębiach, co mają gniazdo na balkonie.

Pociąg ruszył i wkrótce tylko biała chusteczka Frania powiewała zdaleka na znak pożegnania.

Przed wieczorem na stacyi w Kunowie zastał Kazio czekającego fornała Bartosza, który kłaniając mu się do kolan, rzekł:

— Sam pan nie mógł po panicza wyjechać; dziś u nas zwózka rzepaku bardzo pilna, bo pogoda niepewna.

Gdy dojeżdżali do Daniłówki ujrzał Kazio ciotkę, która naprzeciw niego duży kawalek wyszła. Uściskała serdecznie wyskakującego z wózka i już piechotą doszli oboje przed skromny dworek dzierżawcy. W niedużym ganku stał stół zastawiony, i natychmiast czysto ubrana, niemłoda już kobieta, wniosła na tacy smaczny posiłek.

— Widzisz Kaziu, to pocziwa Maciejowa, moja prawa ręka w domu, bo ja mam tyle zajęcia w ogrodzie i przy gospodarstwie, że w wielu rzeczach muszę się nią wyręczać. Pamiętajcie Maciejowa, dobrze o gościu naszym, żeby mu nie zbywało na niczem, czego mu dostarczyć możemy.

Stara służąca życzliwie spojrziała na chłopca.

— Przecież my się z p. Kaziem już oddawna znamy; był u nas przed sześciu laty jeszcze w Jaworowie, ale tam było co innego, a tu co innego; tam p. Kazimierz był jeszcze dzieciakiem a teraz kawaler w mundurku, a i Daniłówki nie można przymierzać do Janowa, tam państwo było, a tu... i kiwnąwszy ręką starowinka odeszła do swoich zajęć, a Kazio pobiegł powitać wuja, który właśnie z pola powracał.

Nazajutrz Kazio wstał koło dziesiątej, bo łóżko miało wygodne, pokój chłodny, zacieniony zieloną firanką. W domu było cicho i pusto, widać, że mieszkańcy wstali już dawno, tylko w jadalni na stole czekało nakrycie na jedną osobę.

— Zdaje się, że to już późno — powiedział sobie Kazio — i ciekawym bardzo czegobym się miał śpieszyć, jeszcze dosyć tych rozkoszy użyję. — Przez okno było widać jadące ku stodołę fury z rzepakiem, wyglądającego oknem Kazia dojrzała

Maciejowa, a przyniósłszy mu zaraz doskonałej kawy i śmietanki ze wspaniałym kożuszkim, zawołała z uśmiechem:

— A to dopiero paniezowi dobrze się spało po podróży. No, to ślicznie, widać że powietrze służy. Niech mu będzie na zdrowie.

Niebawem nadeszła ciocia z ogrodu, a przed samym południem przyszedł i wuj, ale był bardzo zmęczony upałem, więc w milczeniu wycoczywał aż do obiadu. Kazio wyszedł przed dom, pochodził trochę między grządkami ogrodu, widział, że tam wszystko starannie i systematycznie posadzone, ale że jeszcze na to lato żadnej nadziei zbierania owoców mieć nie można. Westchnął, wrócił do domu, poczytał trochę, choć wcale na to nie miał ochoty; nad wieczorem zajrzał trochę do wuja do stodoły, lecz ten był tak zajęty, że na gawędy czasu nie miał. Dopiero przy wieczornej herbacie zaczął go wuj wypytywać o Warszawę, rodziców, szkołę i kolegów. Kazio opowiadał długo i chętnie, lecz gdy dziesiąta wybiła, wszyscy się rozeszli do sypialnych pokojów.

Tym jednostajnym sposobem kilka dni minęło. Warszawianin wstawał późno ociężały i zmęczony, trochę chodził trochę czytał, poziewał często, jadł niewiele, bo mu się jeść nie chciało i myślał nieraz, że choć wujostwo są dla niego dobrzy, byłby wolął zostać się w Warszawie, bo mu się tu u nich okropnie nudzi.

Jednego dnia, kiedy podług przyjętego zwyczaju po dziesiątej otworzywszy oczy, spoglądał ku oknu, na którym wygrzewał się w słonecznych promieniach wspaniały kot biały, faworyt ciotki, drzwi skrzypnęły i weszła stara Maciejowa; Kazio zawstydzil się trochę i przymknął powieki, bo spostrzegł był, że od pewnego czasu stracił już łaski u niej. Maciejowa spojrziała na liżącego łapki kota.

— Oj ty Maciusiu — rzekła gderliwie — próżniaku szkaradny, bezduszne stworzenie, czy ci to nie wstyd wylegiwać się kiedy wszyscy ludzie i zwierzęta od tyłu już godzin pracują. Cóż to, mruyczysz jeszcze? Bronisz się tem, żeś w nocy za myszami gonil; w takim razie cię nie winię, boś sobie znalazł właściwe zajęcie, ale są tacy, co i myszy nie łapią i do południa śpią. Fe! wstyd!

Tak mówiła Maciejowa, a Kazio czuł, że się rumieni, chociaż głowę ma pod kołdrą. „Bezduszne stworzenie, próżniaku” brzmiało mu wciąż w uszach. Jednak to prawda że on zasługiwał na takie przydomki. Maciejowa wyszła, dość silnie stuknąwszy drzwiami, a Kazio się zerwał na równe nogi. Możliwym ja i wstawał wcześniej, ale coż z tym czasem robić będę?

Wtem z drugiego pokoju doszedł go głos wuja:

— Tak bardzo jestem dziś zmęczony, a i tak nie byłem wszędzie gdzie potrzeba. Tam pod lasem wytepiają kaniańkę, która się pokazała w koniczynie, trzebaby dopilnować tój roboty, żeby ją dokładnie zrobili, bo inaczej cały plon przepaść może; coż, kiedy się nie mogę podzielić i być naraż w kilku miejscach. — A, dzień dobry! — rzekł nagle spostrzegając wchodzącego do pokoju Kazia, który go w rękę całował. Cóż, czy się już wyspał nasz elegancik warszawski?

— Wujaszku — rzekł rezolutnie Kazio — żebyś mi chciał wytłómaczyć na czem zależy dobra robota przy tój kaniance, to możebym cię potrafił przy niej wyręczyć.

Państwo Nideccy znacząco na siebie spojrzeli.

— Ty Kaziu? Prędko by ci się to zajęcie sprzykrzyło; trzeba pójść z ludźmi dość daleko, stać na słońcu. Ale jeśli chcesz, to cię po obiedzie tam zaprowadzę. — I poszli obaj na koniczynisko, Kazio łatwo zrozumiał o co rzecz idzie i gorliwie zabrawszy się do pracy, zadziwił się, gdy już słońce zachodziło, a w polu pozostało jeszcze tyle szkodliwego zielska.

— Maciejowa, kochana moja — błagał wieczór pocziwą kobietę — obudźcie mnie jutro skoro świt, bo mam ważną robotę.

— Ej, gdzieby tam panicz chciał wstać — rzekła z niedowierzaniem. — Panicz wtedy śpi w najlepszej.

— Proszę was obudźcie tylko, zobaczycie że wstanę. — I wstał na pierwsze wezwanie, choć mu to z początku dosyć

przykro było. Odtąd Kazio co dnia z wujem swoim po błyszczącej ranniej rosie wychodził na pole i zachwycał się świeżością rannego powietrza. Wypytywał o rozkład robót, zaczęło go wszystko na wsi bawić i zajmować, bo brał udział w gospodarskiej pracy. Wracał z pola z doskonałym apetytem, a po tygodniu już jego blade policzki zakwitły rumieńcem zdrowia. Jakoś w tym samym czasie wuj musiał wyjechać do sąsiedniego miasteczka na jarmark, gdzie nabył ładnego gniadego konia.

— Kaziu — rzekł wróciwszy — każ sobie oczyścić siodło, które wisi w wozowni na haku i wypróbuj tego gniadosza, którego na twój wyłączny użytek przeznaczam.

w którym opisując postępowanie Kazia, winał rodzicom, że syn ich tak rozumie potrzebę i obowiązek pracy, uszczęśliwieni państwo R. z dumą spojrzeli na Kazia i odtąd go już za dziecko uważać przestali.

Anna Załęska.

Wystawa w Pradze.

W połowie zeszłego miesiąca, w otoczeniu ministrów, marszałka krajowego, duchowieństwa, panów miejscowych, po-



Widok Pragi Czeskiej i gmachu wystawy.

— Jaktó wuju? — zawołał z roziskrzonymi od radości oczami — ja mogę jeździć na tym pysznym koniu? To jest zbytek, na który przy początkującym gospodarstwie nie można sobie pozwolić.

— Przeciwnie, to nie będzie zbytkiem! Bardzo mi mój chłopcze będziesz pożytecznym, jest to bowiem pora, w której najczęściej potrzeba dozoru, a ty mi dzielnie pomogasz. Na pospiesznym przejeździe z jednego miejsca na drugie nieraz wiele zależy, więc nie wyrzucaj sobie wydatku, bo ten koń nam się sownie opłaci. A jeżeli ci się spodoba czynne życie, jakie teraz w Daniłowce prowadzisz, to proszę cię przyjeżdżaj każdego święta, każdego wakacji, a już nietylko jako miły gość, ale jako upragniony współpracownik witany przez nas będziesz.

Odtąd Kaziowi czas szybko ubiegał, nie nudził się wcale, a choć za rodzicami i siostrą było mu trochę tęskno, ze smutkiem w parę tygodni później zegnał wujostwo, Daniłowkę i gniadosza.

W domu ucieszyli się niezmiernie, że tak wyrósł, zmężniał przez te dwa miesiące, taki zapas zdrowia i sił nabral na rok szkolny, a gdy jeszcze nadszedł list od p. Nideckiego,

słów czeskich, radców miejskich i różnych innych dygnitarzy, arcyksiążę austriacki Karol Ludwik otworzył wystawę krajową w Pradze czeskiej. Wystawa w której udział bardzo nielicznie wzięli Niemcy, przedstawia przedewszystkiem bogactwa ziemi czeskiej, pracowitość i oświatę jej mieszkańców, którzy doprowadzili rolnictwo i przemysł fabryczny do doskonałości, w jakiej obie te gałęzie pracy ludzkiej, znajdują się w największej ucywilizowanych krajach.

Wielki plac wystawy mieści najpierw w dwóch skrzydłach galerye przemysłowe, dalej budynki dla machin i mnóstwo pawilonów oddzielnych, należących do wielkich właścicieli czeskich, piwowarów i innych fabrykantów. Wszystkie zabudowania mieszczą się w ślicznym ogrodzie o różnobarwnych klombach, przyozdobionych posągami. Dalej znajdują się pawilony sztuk pięknych i wystawy historycznej. Są tu arcydzieła sztuki, jak obrazy, rzeźby i t. p. dowodzące także wielkiego postępu, jakiego Czesi dokonali w tym kierunku w ostatnich czasach.

Pałac przemysłowy wystawy zbudowany cały z żelaza i szkła, przedstawia się wewnątrz bardzo ładnie. Główna nawa w środku jest wysoka, ma dużo światła, gdyż wierzch

pałacu jest prawie cały szklany, a szkła zdobne malowaniami. Naokoło wysokości pierwszego piętra znajduje się galeria. Od głównego jej frontu są wspaniałe organy, przygrywające co chwila. W środku głównej nawy mieści się pawilon cesarski, dalej i po bokach bogate i gustowne pawilony większych firm przemysłowych. Widzimy tu szkła i porcelany czeskie, instrumenta muzyczne, zwierciadła, meble i wyroby tkane. Z głównej nawy pałacu idą dwa skrzydła, na prawo i na lewo napełnione doborowymi okazami przemysłu i rękodzielnictwa. Okazuje wygląda przemysł czeskich kamieni i wyroby z granatów. Bardzo także i świetnie pod względem wykonania przedstawiają się wyroby szklane, porcelanowe, instrumenta muzyczne, wyroby kruszcowe, kretonowe i perkalowe, płótna, wyroby papierowe, litograficzne,

czyzna poruszać łapą i podaje mu flakonik z perfumami i napisem: Upominek z wystawy. Niedźwiedź ten stoi przy oddziale perfumeryi, w którym flaszki, flaszeczki, mydła, stoją ułożone w ogromne piramidy. W pośrodku wystawy mieści się także kilkadziesiąt sklepów w których można zaspokoić głód i pragnienie. Tutaj podają gorące kiełbaski na papierowych talerzykach, tam znów sery rozmaite, ciastka, wino i piwo krajowe. Z galanteryjnych wyrobów najczęściej zwracają uwagę wyroby z kamieni czeskich, to jest naszyjniki, bransolety z ametystów i granatów, których tutejsze kopanie dostarczają w wielkiej ilości.

Na czas wystawy, która będzie trwała aż do 15 października, zapowiedziany jest szereg zjazdów: studentów uniwersytetu i gimnazystów; swoją zaś drogą pociągi na kolei że-



ŻUBRY.

wyroby stolarskie, kapelusznicze i powroźnicze. Najlepszym dowodem zresztą doskonałości czeskich fabryk jest to, że przemysł czeski utorował sobie już oddawna drogę szerokiego zbytu na Wschodzie, a nawet i we wszystkich innych częściach świata, a daty statystyczne stwierdzają, że w ogólnym wywozie przemysłowym Austrii za granicę, większa znacznie połowa przypada na Czechy. Dużo wyrobów czeskich idzie do Niemiec, a nawet do Francji, Belgii i Anglii, naturalnie że wszystkie zalecają się dobrocią i taniością.

Nie małe też zajęcie budzi na wystawie oddział zabawek, których fabryki czeskie dostarczyły mnóstwa wyrabiając ich rocznie za kilkanaście tysięcy guldenów. Są tu lalki naturalnej wielkości człowieka poruszające się, śmiejące, płaczące, śpiewające i śmiejące, za pomocą przyrządów fonograficznych wewnątrz ukrytych. Ogólnie także podziwianą jest klatka mieszcząca papugę, słowika, kosa, kanarka i gila, ptaki te wyrobione sztucznie lecz do złudzenia naśladujące prawdziwe, również za pomocą ukrytego wewnątrz mechanizmu, śpiewają, fruują i skaczą. Zabawkę zarówno dla dorosłych jak dla dzieci stanowi na wystawie niedźwiedź naturalnej wielkości i kształtu; gdy w otwartą jego paszczę zwiedzający wystawę wrzuci dwudziesto centymową monetę, wtedy niedźwiedź automat, za-

laznej umyślnie urządzone dla gromadnego zwiedzania wystawy, wyprawiane będą nieustannie jako „pociągi na wystawę”, cały więc kraj czeski będzie mógł z nich korzystać. Tysiącami też przybywają wieśniacy z najodleglejszych jego części, a członkowie wystawy wszędzie oprowadzają ich dając odpowiednie objaśnienia do oglądanych przedmiotów.

ŻUBRY.

Garstka żubrów zamknięta w białowiezkiej puszczy stanowi obecnie jedynych przedstawicieli tych zwierząt w Europie. Dawniej w średnich wiekach lasy i stepy obfitowały w żubry. Zwierz to potężny, należący do rodziny dwukopytnych, z której pochodzi także nasz użyteczny wół roboczy. W Ameryce północnej pierwsi emigranci angielscy, którzy tam przybyli, znaleźli żyjące swobodnie, olbrzymie stada żubrów których ilości zliczyć nawet nie było można. Literalnie pokrywały one kraj cały, a ich ryki odbijało echo gór i płaszczyn. Żubry jakkolwiek tępione przez nowo-przybyłych mie-

szkańców, z początku nie lękały się ich wcale, dopiero gdy zaczęto urządzać na nie kompletne oblawy, zniemił się też i charakter z natury łagodnych i spokojnych zwierząt. Wtedy dopiero poczęły lękać się huku palnej broni, człowieka i uciekać na jego widok. Lecz nie obroniło ich to od zagłady. Setki myśliwych tropiły ich stada, a w dziele zniszczenia pomagała ludzimi właściwa żubrom ciekawość, nad którą nawet strach zapanować nie zdołał. Goniony żubr nagle zatrzymując się w pędzie, odwracał, i wtedy padał najczęściej pod strzałem myśliwca. O niezmierniej ilości amerykańskich żubrów świadczyć może fakt następujący: oto pewien Amerykanin w przeciągu ośmiunastu miesięcy zabił cztery tysiące dwieście osmdziesiąt żubrów.

To też krwiożerczy instynkt ludzki, brak wszelkiej opieki rządu Stanów Zjednoczonych nad biednymi zwierzętami, położyły kres ich istnieniu. Ostatnie stada żubrów wytępiono 1883 r., przyczem sami myśliwi o tej ostatecznej zagładzie nie wiedzieli, dopiero gdy w następnym roku puszczone się znów na polowanie, nie znaleziono ku najwyższemu zdumieniu strzelców ani jednego żubra. Sądzone z początku, że zwierzęta wyemigrowały na północ; lecz daremnie urządzano nowe wyprawy. Żubry żyją teraz tylko w publicznych lub prywatnych parkach w miastach Stanów Zjednoczonych. Ale brak swobody zmienia też i cechy charakterystyczne zwierząt. To też człowiek wygubił zupełnie wspaniałą rasę żubrów amerykańskich. Dla natychmiastowego zysku, bowiem mięso i skóra żubrów stanowiły ważny artykuł amerykańskiego handlu—wyniszczono zwierzęta, będące jednym ze źródeł krajowego bogactwa. Rycina nasza przedstawia myśliwca czatującego na żubry w czasach, gdy jeszcze napotymano je całemi stadami.

A. M.

PODRÓŻ MŁODEJ SZKOTKI.

Wielkie zajęcie obudził obecnie w Londynie odczyt młodej szkotki miss Muriel Dowie, która odbywszy podróż w Karpaty, zapragnęła podzielić się z drugimi swemi wrażeniami. Miss Dowie przebywała przez trzy miesiące blisko wśród północnych stoków Beskidów, zapoznała się z miejscowym ludem i jego obyczajami, czyniąc odległe wycieczki z łomoczekiem podróżnym w rękę, na konikach góralskich lub pieszo. Doznała nawet kilku niemiłych przygód, o mało bowiem nie utonąła kąpiąc się w rzece, kiedyindziej znów spadłszy ze znacznej wysokości wybiła rękę, nie zraziła się wszakże tem wszystkim, i z wycieczki swój tak miłe zachowała wspomnienia, że zamierza ją ponowić.

Odczyt miss Dowie wielki zyskał rozgłos, wydała go więc następnie w obszerniejszych rozmiarach pod tyt.: „Młoda dziewczyna w Karpatach”. „Stowarzyszenie kobet angielskich”, ofiarowało jej wtedy nagrodę zwaną „Wiktoryą”, przyznaną zwykle kobietom, które się odznaczyły w naukach, sztuce, pracach literackich, lub też dokonały jakiegoś czynu poświęcenia w zakresie działalności kobiecej.

„Wybrałam się w podróż — mówi panna Dowie — sama jedna; miałam zamiar przebyć konno Karpaty, zatrzymując się w tej lub owej wsi, jaką spotkam po drodze. I tak też uczyniłam. Przez dziesięć tygodni żyłam wpośród wieśniaków, jadłam to co i oni jedli, nie widziałam na oczy mięsa ni piwa, ani wina. Niejedną noc przespałam pod gołym niebem owinięta w płaszcz tartanowy: posłaniem mojem były świeże gałązki jodłowe.

„Są w Karpatach dzikie koty, wilki i niedźwiedzie. Pomyśli kto zapewne, że młoda dziewczyna, podróżując sama, spotkać się może z niejednym niebezpieczeństwem; mnie jednak nic z tego nie spotkało. Długą drogę od Londynu do Karpat odbyłam jak najpomyślniej.

„Przybywszy do celu mej podróży zatrzymałam się najprzód we wsi Mikuliczynie; chciałam poduczyć się trochę języka i poznać zbliska życie ludu, potem zwiedziłam inne wsie: Połonicę, Kosmarz, Warokłę, Jabłonę, Żabie, Jaworowe;

nareszcie trzy dni przebyłam w małym góralskim miasteczku Kossowie, gdzie gościnnie przyjęta, stanęłam w domu doktora miejscowego. W Kossowie zwiedziłam z zajęciem fabrykę wełnianych i lnianych tkanin. Wyrabiają tam fartuchy z wełny mahairowej, sprowadzonej z Brackfordu w jaskrawych kolorach: czerwonym, żółtym, zielonym i pomarańczowym. Płótna ich z lnu i konopi nie ustępują najlepszym z irlandzkich fabryk. Miałam dwa konie i przewodnika górala; jeden koń służył mi pod wierzch, na drugim pomieściłam mantelzak, płaszcz tartanowy i kaftanik ze skóry baranięj. Ruszyliśmy o świcie. Cudny widok roztaczał się na góry, przysłonięte mgłą błękitną. Droga szła przez las pełen żywiczęj woni; ziemia zasłana była mnóstwem poziomek. Tu i owdzie powaio ne drzewo leżało w poprzek drogi.

W Mikuliczynie panna D. nakupiła haftów na płótnie wyszywanych bardzo pięknie przez miejscowe wieśniaczki, wyrabianych przez nie kilimków, rzeźb na drzewie miejscowych górali i wszystko to pokazywała słuchaczom zgromadzonym na swoim odczycie. Skreśliła też wierny obraz górali i góralek.

„Wieś Mikuliczyn—mówi—położona u stóp Czarnohory, po obu stronach Prutu. Most na rzece, chaty rozrzucone po wzgórzach zarosłych drzewami, malowniczy przedstawiają obraz. Lud odziewa się latem w grubsze płótna, zimą owijają się w czerwone wełniane dery własnej roboty. Mężczyźni noszą długą swiżę. Czy to latem czy zimą, hucul kładzie kożuch barani, wyszyty bogato we wzory w jaskrawych kolorach. Włosa nosi swuszczone równo wokoło głowy, podstrzyżone krótko nad czołem, Kobiety stroją się w koszule, pracowicie zahaftowane na gorsie i na rękawach, i w dwa fartuchy czerwone, zchodzą się z sobą z dwóch boków; zawiązują na głowie chustkę czerwoną z pomarańczowem. Dziewczęta ładne i hoże w ogólności, zdobią głowę opaską wełnianą i świecidłami: szyję obwieszają całą kaskadą korali, bursztunów i paciorków z różnokolorowych szkielek. Wesołe, zalotne lubią stroje i piasy. Lud to żwawy, wytrwały do roboty, kobiety pomagają mężom i braciom, dzieląc z nimi wszelką pracę, oprócz ciesielskiej. Małe dziewczęta piastują drobną dziatwę. Chaty z sosnowych balów, po większej części wygodne; przystęp do nich każdemu dozwolony.

„Gdy gość spocznie na długiej ławie pod ścianą, wydobędzie jedno i drugie cygaro, poczęstuje niem gospodarzy: oto przyjaźń gotowa. Rozmowa idzie żywa, mężczyźni obsiedli ławy, gospodyni krząta się po izbie, dogląda garnków postawionych na ogromnym kominie; przez wzgląd na gościa wygania zwierzęta i ptactwo domowe”.

P. Dowie opisuje także wycieczkę na Czarnohorę, najwyższy szczyt okoliczny. Przewodnik góral zapewniał, że zna drogę jak litery alfabetu, pokazało się wszakże że o jednych i drugich nie miał wyobrażenia. Kierował się tylko według położenia krzyżów rozstawionych już to aby oznaczać źródła, już pomiary geograficzne, już wreszcie miejsca gdzie ktoś padł pod ciosami zbójców. Wiele legend o zbójcach i spotkaniach z niedźwiedziem opowiadał jej przytem. Słuchała ich z zajęciem i ciekawie też przyglądała się wyrobom domowego przemysłu huculów, nabywając je na pamiątkę pobytu swego wśród nich.

Dziwną się zapewne wyda naszym czytelnikom ta podróż samotna młodej dziewczyny, ale „co kraj to obyczaj” powiada przysłowie, i to co u nas jest niemożliwem ze względów naszych obyczajów, w Anglii, gdzie panny większej nawet używają swobody niż młode mężatki, nie razi wcale.

W dziewiczych lasach Ameryki.

(Dalszy ciąg).

Na domiar niepokoju jeden z mulników, metys pochodzeniem znikł pewnego dnia niespodzianie. Z początku sądowano że niebytność jego jest tylko chwilową i nie zwracano na

nią uwagi, ale w miarę jak się przedłużała, surowa twarz Benita stawała się coraz chmurniejszą. Nic nie mówiąc nikomu, odbył z p. Walerym tajemną naradę, po której obaj udali się na cmentarzysko, a gdy stamtąd wrócili, mulnicy otrzymali surowe polecenie nie wydalania się z obrębu *fondy*, którą całą zajmowali nasi podróżni, Panfil zaś i Benito oraz p. Tadeusz i don Leon zajęli się opatrzeniem drzwi i okiennic budynku oraz broni, której spory zapas mieli z sobą.

— Ojciec — zapytał Józio widząc te wszystkie przygotowania — czy myślisz, że Patricios mają zamiar napaść na wieś?

— Tak mniema Benito — odparł p. Walery, który zaczął już uważać Józia za młodzieniaszka zdolnego dzielić trudy i niebezpieczeństwa. — Przypuszcza on, że zbiegły mulnik naprowadzi ich tutaj i radzi mieć się na ostrożności.

— Wczoraj jeszcze mówił tutejszy gubernator, że *Patricios* na podróżnych tylko czyhają, nie napastując mieszkańców osiadłych po wsiach i wioskach?

— Podobno; ale nas uważać będą za podróżnych. Mulnik domyśla się, że mam przy sobie pieniądze i klejnoty, zresztą sam już tabor nasz skusić może złoczyńców, którym łotr ten da zapewne przesadne wyobrażenie o naszych bogactwach.

— Możeby zakopać gdzie pieniądze? — zaprojektował Józio.

Pan Walery uśmiechnął się tylko; w surowej twarzy Benita ani jeden muskuł nie drgnął: mogło się zdawać że słów Józia nie słyszy wcale.

— Myślisz że czekaliśmy z tem, aż ty na pomysł ten wpadniesz? — żartobliwie odpowiedział chłopcu ojciec.

— Gdzie ojciec zakopał? na cmentarzysku?

— A królewiczek zawsze pyta! — półgłosem mruknął Benito, niezadowolony z obrotu, jaki przybrała rozmowa.

Ale p. Walery innego był zdania. Mniemał on i słusznie, że chłopiec w wieku Józia powinien już być dopuszczonym do tajemnicy, której dotrzymanie nie wymagało nic prócz milczenia, i że powinien się uczyć milczeć, gdy tego zachodzi potrzeba. Wyjawił więc przed nim, że obrał kryjówkę dla szkatułki zawierającej ważne papiery i kosztowności w podziemiu jednego z grobowców, a Józio dumny tym dowodem zaufania, zwrócił się do pana Taneusza:

— A zatem *my mężczyźni*, gotujemy się do obrony?

Uśmiechnął się p. Tadeusz i przekornie odrzucił Józiovi:

— Tak my, mężczyźni z wosami.

Ale ujął się za nim don Leone:

— Benito wosów nie nosi, a przecież on to jest głównym organizatorem odporu. Nie należy więc wyłączać bezwosych, i dla tego głosuję za wliczeniem Józia do członków czynnej obrony.

Wieczór upłynął spokojnie, noc nadeszła cicha, ciepła, wyiskrzona gwiazdami. Mieszkańcy *fondy* zdawali się w głębokim śnie pogrążeni, nigdzie nie było widać światła, znikąd najmniejszy szmer nie dochodził. We wsi, której chaty bezładnie rozrzucone naokoło otaczały *fondę*, panowała także cisza zupełna.

W tem nagle z ciemności rozjaśnionych tylko blaskiem gwiazd wynurzyło się coś, czego kształtu najbystrzejsze oko rozróżnić by jeszcze nie zdołało. Ruchoma, zbita masa posuwała się ku wsi szybkim i cichym ruchem, dopiero gdy mijawała pierwsze chaty, gdy od *fondy* dzieliło ją paręset ledwie kroków, ktoś poruszenie jej śledzący, nabrać by mógł pewności, że składa się ona z kilkunastu jeźdźców, siedzących na koniach, których nogi owinięte były gałganami, ażeby zagłuszyć tentent kopyt. Jeźdźcy zdawali się znać dobrze nie tylko miejscowość, ale i rolę jaką każdemu z nich przypadła w tej nocnej wycieczce, bo zrównawszy się z *fondą*, wyciągnęli się długim sznurem i w mgnieniu oka rozdzielili się na dwie gromady. Jedna zajęła posternek u drzwi wiodących do domu mieszkalnego, druga stanęła pod bramą, która dawała wstęp do zabudowań przeznaczonych na schronienie dla zwierząt; na czele tej drugiej stał mulnik.

Plan napaści obmyślony był z szatańską zręcznością. Mulnik wysadzić miał bramę z pomocą towarzyszących mu zbójów, uprowadzić muły i zrabować złożone w szopach paki. Jednocześnie gromada zaczajona u drzwi wchodowych wtargnąć miała do domu, gdzie spodziewała się znaleźć wszystkich uspiomych i zupełnie bezbronnych.

Tymczasem inaczej się stało. Za ledwie wierzeje bramy ustępować zaczęły z głuchem trzeszczeniem pod naporem podważających je żelaznych dźwzków, w które zawsze zaopatrzeni są *Patricios*, wnet padł strzał, po nim drugi i trzeci i jeszcze kilka, wszystkie zaś pomimo ciemności trafne. Napadnięci bowiem mieli tę przewagę nad napadającymi, że doskonale rozróżniali ich postacie rysujące się na tle przezroczystych ciemności gwiazdzistej nocy; sami zaś otoczeni czarną pomroką panującą pod dachem szopy, w której sobie stanowisko obrali, widzialnymi dla nich nie byli.

To samo miało miejsce i u drzwi wchodowych, gdzie także walka zawrzała. Celne strzały trupem kładły jednego po drugim napastnika, gdy jeden z nich najwyższy wzrostem, pleczysty, silny, zwinnym skokiem tygrysa rzucił się naprzód i jedną ręką wytrącił Józiovi strzelbę, z której tenże mierzył do niego, drugą porwał go za kołnierz, uniósł z ziemi jak piórko i wciąż nim zasłaniając się od strzałów, cofać się począł w stronę, gdzie konie opryszków, wytresowane przez swoich jeźdźców, stały spokojnie jeden obok drugiego, czekając chwili w której znowu ciężar na grzbiecie swoim poczują.

Jeszcze dwa padły strzały i dwóch położyły złoczyńców, ale do porywcy Józia nikt strzelać nie śmiał, bronił się bowiem Józiem jak puklerzem, pomimo że biedny chłopiec szamotał się z całej siły i nie mogąc — z powodu pozycyi jaką zachować był zmuszony — bronić się rękoma, wierzgał przynajmniej jak młody żrebiec.

Ale olbrzym, który go porwał, zdawał się nie więcej na to zważać od jastrzębia, który także niewiele sobie robi z rozpaczliwych szamotań się porwanego kurczęcia.

— Ojciec! p. Tadeuszu, Leonie! — wołał Józio — który pomimo grozy położenia nie stracił przytomności — w łeb kulę pakujcie drabowi. W łeb go! mnie się nic nie stanie!

Donośny chłopięcy głos jego, doleciał uszu tak ojca jak i pana Tadeusza, ale ani jeden, ani drugi nie mieli odwagi usłuchać wezwania Józia. „Drab“ tak się był już oddalił ze swą zdobyczą, że olbrzymia jego postać niewyraźnie majaczyła w ciemności. Jakże tu strzelać; kiedy celować nie można, a od celności strzału życie Józia zawisło!

Z niemą rozpaczą spojrzeli na siebie mężczyźni. W tejże chwili dźwięczny, srebrzysty głos Luci rozległ się wołaniem:

— Benito! Benito! na pomoc!

I zanim ją powstrzymać zdołano, pędem przebiegła izbę, w drzwiach której toczyła się przed chwilą walka i znikła w głębi otoczonego szopami dziedzińca. Słychać tylko było głos jej rozpaczliwie wysilony, wołający raz po razie:

— Benito! na pomoc! Józia porwali! Józia!

Usłyszawszy krzyk ten, łzami nabrzmiały, poskoczył Benito ku Luci.

W krótkich, urywanych słowach opowiedziała mu, co się stało, ale nim mówić skończyła, rzucił się w bramę Benito i przedarłszy się przez zmniejszoną już kupę napastników, dopadł miejsca, gdzie stały ich konie, wskoczył na pierwszego z brzegu i na oślep pognął w ciemności, rachując na instykt konia, że pójdzie śladem towarzysza, którego właściciel uwoził już swą zdobyczą.

Wnet też cofnęła się i reszta *Patricios*, zostawiając czterech zabitych pomiędzy którymi znajdował się i niecny mulnik, oraz siedmiu rannych, a natomiast nie drasnąwszy nawet nikogo. Mogliby więc byli dzielni nasi znajomi powinszować sobie odniesionego zwycięstwa, gdyby nie sroga niepewność o los Józia.

Co się z nim stanie? co z nim zrobią złoczyńcy? Może na nim zechcą mścić się za poniesione straty i zawiedzione nadzieje bogatego łupu?

ZADANIE KONIKOWE.

od Gwoździka dla Stefana K.

W obec takich i tym podobnych myśli daremnie starał się p. Walery dodawać męstwa Luci; nie mógł ukryć jak straszliwie zgębił go cios tak niespodziewanie odebrany.

Nie mniej prawie bolesnym był on i dla p. Tadeusza, który oddawna całym sercem przywiązał się do swego ucznia a w ostatnich czasach z radością patrzył na budzące się w głowie jego i sercu nowe życie. Gdyby brata rodzzonego stracił, więcej cierpieć by nie mógł!

Ciężki smutek padł więc na całe grono tak dotychczas wesoło znoszące trudy podróży, bo nie potrzeba dodawać, że ani miss Oliwia, ani Juana, ani nawet don Leone nie pozostali obojętnymi na nieszczęście, jakie p. Walerego dotknęło.

Całą nadzieję w tem jeszcze pokładano, że śladów swego „królewicyka“ nie straci Benito. Ale sam jeden, czy poradzić co zdoła gromadzie zbrojnych rabusiów?

Ranni, którymi z polecenia p. Walerego i pod nadzorem p. Tadeusza zajęła się Juana (a trzeba przyznać, że uczyniła to bardzo niechętnie) zdawali się zachowaniem swoim urągać boleści tych, którzy dobrem im za złe płacili. W gorączką roziskrzonych spojrzaniach błyskała zacięta nienawiść, mruśliwe odpowiedzi brzmiały jak przekleństwo lub obelga.

Daremnie starał się p. Tadeusz dowiedzieć coś od nich o losie, jaki spotkać może Józia, daremnie Lucia starała się przejednać ich urokiem słodczy swojej i zmiękczyć ich serca widokiem swjej boleści.

Pierwszego dnia, miał p. Walery nadzieję, że Józio porwany został jako zakładnik, że lada chwila zjawi się w imieniu opryszków jakiś poseł, upoważniony do traktowania o okup. Pytał nawet jednego z rannych, czy tak być może, czy tak u nich czasem bywa?

— Czasem bywa, a czasem i nie! — gniewnie sarknął chory. Poczekajcie, a przekonacie się, jak u nas bywa!

Czekał więc p. Walery, czekał dzień, drugi, trzeci. Ale dni mijały jedne po drugich, i tydzień cały minął, a wysłańcic się nie zjawiał i nie powrócił Benito!

(d. c. n.)

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

od Pokrzywy wołyńskiej dla Wiochny z pod Lublina.

Z następujących sylab: A— a— bo— chy— czu— drya— el— hu— i— ja— jew— ki— ri— lią— lu— gmuś— na— nar— pe— no— ni— mny— o— pa— kow— pol— rab— ro— rus— set— ska— ski— tj— stal— kta— ta— i— wal— we— wian— wło— zy— bo— o— o— ułożyć wyrazy: 1. Nazwisko podróżnika po Afryce. Miasto w Turcyi. 3. Zwierzę morskie. 4. Stolica wysp Towarzystw, 5. Mieszkaniec Azji. 6. Kraj w Europie. 7. Najwyższy szczyt w górach kaukaskich. 8. Pokrycie ryby. 9. Kapłanki ognia w starożytnych Rzymian. 10. Imię cesarza rzymskiego. 11. Miasto w gub. połtański. 12. Roślina z rodziny złożonych. 13. Imię matki małoletniego królewicza w 6-ym przyp. 14. Rzeczka w Grecyi. 15. Miasto w gub. Charkow. 16. Imię męskie zdrobniałe. Początkowe litery tych wyrazów czytane z góry na dół utworzą imiona i nazwisko poety z XVIII-go wieku, końcowe zaś w przeciwnym kierunku tytuł jego utworu.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

TREŚĆ: Róża i jabłoń, wiersz p. Z. Morawską (z drzew.) — Pogadanka naukowa p. Młodego przyjaciela dzieci. — Wakacje Kazia. — Wystawa w Pradze (z drzew.) — Żubry (z drzew.) — Podróż młodej Szkotki. — W dziewiczych lasach Ameryki. — Łamigłówni i rozwiązania. **Dodatek:** Pestka i Wiernuś (z drzew.) — Dwaj przyjaciele, bajka p. Ewę Maryę. — Dobrze dzieci p. Maryę Weryho. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Zwalczone uprzedzenie, powieść p. Karoliny Yonge, przekład z angielskiego T. P.

spla	mę	a	ci	ży	bił	pla	siu
le	bo	mie	pla	ma	sta	rze	wam
ma	nem	pła	cie	zro	gnie	mó	rze
cię	strzeż	mę	ma	cze	szcze	się	ta
czy	sza	brzyd	ni	nie	kła	pie	wię
się	dzie	ma	i	wy	suk	się	rze
pra	kim	mo	two	staś	ma	pie	wy
je	łu	prze	nie	rze	się	na	pla

ROZWIĄZANIA DO N-ru 24-go.

Szarady: N i c i.

Zadania arytmetycznego.

Przekupka A. sprzedając 2 jabłka za jeden grosz dzieliła swoje pół kopy jabłek na 15 porcyj, przekupka zaś B. sprzedając 3 jabłka za 1 gr. rozdzieliła znów swój owoc na 10 porcyj. Gdy zaś sprzedawała sama całą kopę jabłek dzieliła je na 12 porcyj, gdyż 5 w 60 mieści się 12 razy z czego wynika, że tylko 24 jabłka z części przekupki A. sprzedawała po 1 gr. za 2 sztuki, resztą zaś to jest jabłek 36 sprzedawała po 1 gr. za 3 sztuki. A więc 6 jabłek z części przekupki A. sprzedała za 2. a nie za 3 gr. i stąd wynikła strata jednego grosza w ogólnym rachunku.

OD REDAKCYI.

Prenumeratom naszym kwartalnym i półrocznym przypominamy wczesne odnowienie przedpłaty, jeżeli nie zechcą doznać opóźnienia w przesyłce Wieczorów. W pierwszych numerach przyszedłego kwartału obok innych artykułów urozmaiconej treści, w dziele powieści damy drugą część „Książeczki Władzia“ następnie zaś powieść „Przed lat tysiącem“, i dokończenie „Z wyspy Atlanty“.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

TREŚĆ: Róża i jabłoń, wiersz p. Z. Morawską (z drzew.) — Pogadanka naukowa p. Młodego przyjaciela dzieci. — Wakacje Kazia. — Wystawa w Pradze (z drzew.) — Żubry (z drzew.) — Podróż młodej Szkotki. — W dziewiczych lasach Ameryki. — Łamigłówni i rozwiązania. **Dodatek:** Pestka i Wiernuś (z drzew.) — Dwaj przyjaciele, bajka p. Ewę Maryę. — Dobrze dzieci p. Maryę Weryho. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Zwalczone uprzedzenie, powieść p. Karoliny Yonge, przekład z angielskiego T. P.

WIECZORY RODZINNE.



...spoglądała na nią najpierw obojętnie, przyciskając mocno do siebie Wiernusia...

PESTKA I WIERNUSZ.

Mała Celinka, rozpieszczona i ukochana jedynaczka, miała raz bardzo smutny wypadek, zwichnęła sobie nóżkę, i długo, długo chorowała biedaczka.

Najmilszą rozrywką chorej dziewczynki, gdy jeszcze w łóżeczku leżeć musiała, była ulubiona jej psina Pestka.

Ale bo co też to była za mądra ta Pestka, to drugiej takiej szukać daleko, a kochała tak młodą swoją panią, że nie chciała odstąpić jej ani na chwilę.

Wielka była radość w domu, gdy nareszcie Celinka raz pierwszy po chorobie wstała z łóżeczka, każdy spieszył by ją prowadzić i podtrzymywać, aby nóżki nie zmęczyła bardzo.

Pestka, jakby rozumiała radość ogólną, skakała

przed Celinką i poszczekiwała wesoło, objawiając, jak umiała, swą wielką uciechę.

Dnia jednego bardzo miła niespodzianka spotkała Celinkę, przyjechała bowiem jej ciocia z Warszawy i miała zabawić przez tydzień.

— Ach cioteczko! — wołała Celinka, wyciągając rączki do cioci, bo poskoczyć na powitanie nie mogła, jak to czyniła dawniej.

— To ty biedaczko, jeszcze nie możesz chodzić śmiało — mówiła ciocia ściskając serdecznie kochaną siostrzeniczkę.

— A jeszcze kuleję moja cioteczko, i sama przez pokój przejść nie mogę — rzekła Celinka smutnym głosem.

Ciocia witając się z Celinką, nie zauważyła, że przy jej nogach kręciła się i skomlała radośnie Pestka, która poznała w przybyłej tę dobrą panią, która ją nieraz pieściła, a nigdy się nie gniewała.

Celinka spostrzegła usiłowania faworytki, aby zwrócić na siebie uwagę gościa, i rzekła do cioci.

— Cioteczko, moja Pestka tak się raduje na powitanie cioci.

— Pocziwa Pestko, toś ty mnie poznała — mówiła ciocia schylając się i głaszcząc uradowaną tą pieszczotą psinę — jaką ty masz wdzięczną pamięć!

— O! ciociu — rzekła Celinka — moja Pestka kocha wszystkich, których ja kocham, już my się znamy dobrze.

— A! — zawołała ciocia nagle jakby sobie coś przypominając — toż i ja przywiozłam tu pieska, którego mam zawieść wujkowi do Warlina, czy aby go przynieśli z powozu?

— Jest proszę pani — rzekła Julisia pokojowa — postawiłam go z koszyczkiem w pani pokoju.

— Ach! przynieś go tu czempredzej, przynieś, moja Julisiu, spiesz się — wołała niecierpliwie Celinka — ja tak lubię pieski, a czy ładniejszy od Pestki?

— Wątpię — odrzekła ciocia — jest on jeszcze mały i niezgrabny, istna baryłka.

W tej chwili Julisia weszła i podała Celinie małego tłustego pieska, który ciekawie rozglądał się po pokoju.

— Ach! jaki on śliczny! jaki ładny! — wołała zachwycona Celinka, pochwywszy psinę na ręce — on musi być mój, cioteczko moja jedyna daruj mi tego prześlicznego pieseczka.

— Chętnie bym to uczyniła gdyby piesek ten należał do mnie — rzekła ciocia — ale bez zezwolenia wujaszka, uczynić tego nie mogę.

— Doprawdy, wujaszek by się chyba nie gniewał — rzekła Celinka.

— Alboż ci mało twej Pestki? — zapytała mama — wierniejszego stworzenia nie znajdziesz, bądź pewną kochanie.

— O i ten byłby wierny — zawołała Celinka z zapalem — nawet bym go nazwała „Wierny“.

— Więc go już lepiej lubisz aniżeli Pestkę? — rzekła znów mama — to mię nie cieszy, Celinko, bo gdy w jaki tydzień zobaczysz znów innego pieska, zapragniesz go tak samo gorąco jak dziś tego, i tak dalej będziesz porzucała starych wypróbowanych przyjaciół dla zdobycia czegoś niepewnego.

— Mamusiu, czy pies to przyjaciel? — zapytała Celinka pieszcząc małego pieska, a ja słyszałam, jak tatuś mówił wczoraj: „Stefan, to mój prawdziwy przyjaciel”.

— To inny zupełnie rodzaj przyjaźni moje dziecko — rzekła mama — o tem pomówimy później, dziś ci tylko nadmienię, że wierność i przywiązanie psów do swych panów ma uznanie u wszystkich prawie narodów. Nie raz pies w obronie swego pana oddaje życie własne, a w największej nędzy nie opuści tego który go wychował?

— To jeszcze lepiej mój mój, będę miała dwóch przyjaciół — mówiła Celinka, nie tracąc chęci posiadania przyniesionego przez ciocię pieska.

(d. n.)

DWAJ PRZYJACIELE.

B A J K A.

Rzekł lis układnie: „Szanowna kuro!
Czemu wysoko siadłaś na grzędzie
I patrzysz na mnie brzydko, ponuro,
Trwożnie zerkaając wszędzie?

Czy myślisz, sądząc źle o psim rodzie,
Że jestem jak ten Bryś straszny, bury,
Co szczeka, rzuca się i w ogrodzie
Rozpędza kury?

Zbójca ten! nieraz da im po czubie;
A mnie najdroższą dziś zgoda święta!
I przytem bardzo, a bardzo lubię
Kury, kurki, kurczęta!

Ciebie zaś widząc, głosu nie stanie,
By dość wychwalić powaby liczne,
Wielkie przymioty,
Ógromne cnoty

I twoje rzewne, tęskne, prześliczne
Gdakanie!

O zejdz! wszak we mnie masz przyjaciela,
Który tak szczerze mówi, jak czuje,
Zatem przestrozę dać się ośmiela,
Że ten szkaradny
Bryś zły i zdradny,
Coś dawno knuje.

Powiem ci wszystko! ale do ucha...
Zbliż się! tu chodzi o twoje życie!
Nie zwlekaj! może ten zbrodzień słucha
I godzi skrycie?”

Skończył, a pani kura ciekawa
Co to za groźna, tajemna sprawa,
Zlatuje z grzędą. „A tuś mi, kwoko!”
Rzekł lis i paszczę rozwarł szeroko,
Oczy mu świecą,
Pióra już leca!

W tem: „hau! hau!” i od folwarku,
Przez płot skoczywszy, Bryś nagle wpada,
I kiedy jejmość krzyknęła „biada!”

Warknął, sierść zjeżył,
Zęby wyszczerzył
I siadł lisowi na karku.

Jakiż ratunek? Obłudnik stary
Pewny że zdoła uniknąć kary,
Dyszając pod ciężką łapą brytana,
Chciał pomsty! zrzucić pragnął tyrana,
Więc Brysia drapnął
Za ucho capnął,

Wreszcie, ostatniej dobywszy siły,
Targnął się, lecz wraz pan chytrosz miły
Sam przy kur, kaczek i gęsi wrzasku,
Fiknął raz, drugi
I legł na piasku,
Jak długi!

A kaczka na to kwakając rzecze:
„Okropność! aż drzę! aż łza mi ciecze!
O jakże sroga
Kureczko droga,
Była ma trwoga!

Chwilka!... a mogłam zostać po tobie
W żałobie!

To szczęście, że raz grzebnąwszy nogą,
Choć obszarpana
I podrapana,
Żyjesz, niebogo...

Ach kumciu! z twój przygody nauka,
Że kto pochlebia, łatwo oszuka,
Zaś inny, lubo trochę surowy,
Ale do czynów zacnych gotowy,
Co w złej nas toni
Ratuje, broni,
Naszę niedolę sercem podziela,
Wart nazwy przyjaciela!...”

Ewa Marya.

DOBRE DZIECI.

W małym domku mieszkała praczka z dwojgiem małych dzieci. Była ona bardzo uboga, a pilnie pracowała. Cały dzień od rana do nocy prała, czasem ręce miała nabrzmiałe, ale nie mogła odpoczywać: ktośby jej dzieci karmit i przyodziewał? Dobrze były jej dzieci. Nie nudziły matki, kiedy była zajęta, a bawiły się same na ganku domku, albo w ogródku, który znajdował się tuż przy domku.

W tym to ogródku dzieci bardzo lubiły bawić się, biegały, budowały fortece, domki z kamieni i wiele innych rzeczy.

Raz kiedy się dzieci tak bawiły w ogródku, usłyszały, jak matka zawołała na Wacusia. Wacus miał już lat siedm, był starszy o rok od swego braciszka; zerwał się i prędko pobiegł do matki.

Po chwili wraca z głową na dół spuszczoną.

— Co ci to? — pyta Stach jego brat — czy się mama na ciebie za co gniewała?

— Nie Stachu — odpowiada Wacusz po cichu — nie łajęła mnie, ale żebyś ty wiedział, jaka nasza matka biedna.

— Dlaczego? — pyta braciszek.

— Jaka biedna — mówił ze łzami w oczach Wacusz. — Zawołała mnie, ażebym rozwiązał supełek sznureczka, bo ją ręce boją. Spojrzałem na jej ręce, były na nich tak wielkie pęcherz, jak gdyby się poparzyła. Pytam tedy, dlaczego mama ma tak pokaleczone ręce?

— Z pracy to, synku — odpowiedziała — od świtu piorę, teraz spieszyć się muszę z prasowaniem.

— Prosiłem mamy, ażeby wypoczęła, ale ona powiada, że jak teraz wypoczywać będzie, to nie będzie mogła kupić chleba na podwieczerek.

— Biedna matka — westchnął po cichu Stach. — Żebyśmy to jej w czym pomodz mogli?

I zamyślił się obaj chłopcy.

— Ach! — wykrzyknął Wacusz — wiem, co zrobić! Tam za naszą osadą jest duży budynek. Mieszka w nim bardzo dużo ludzi, widziałem raz, gdy bieliznę z mamą nosiłem. Pójdę i poproszę, żeby mi dali jaką robotę jestem silny, potrafię pracować.

— I ja — zawołał Stach.

— No, to chodźmy!

I chłopcy nie myśląc długo, przeszli przez parkan i pobiegli wprost przed siebie, gdzie zdaleka wznosił się duży budynek z ogromnym kominem!

Biegli długo, wreszcie zatrzymali się przy czerwonym gmachu.

— Co to za dziwny dom? — mówi Stach — nigdy nie widziałem takich domów; na co taki duży komin? A jaki turkot w tym domu, jakby tysiąc koni po moście stąpało.

Była to fabryka papieru.

— A wy co tu robicie? — zapytał pewien pan, przechodząc koło dzieci!

Przestraszeni chłopcy wybąknęli nieśmiało, że szukają pracy.

— Jaktó! wy chcecie pracować, tacy mali? Skądże się wam wzięła taka ochota?

Wtedy chłopcy opowiedzieli, że mają ubogą matkę i że chcą zapracować, ażeby jej choć trochę przynieść ulgi. Bardzo spodobała się panu mowa chłopczyków i powiedział do nich:

— Kiedy tak, to się znajdzie i dla was robota. Weźcie te worki co tam leżą, chodźcie po wsi od chaty do chaty i zbierajcie rozmaite szmaty, nowe, stare, czyste czy brudne, a zapłacę wam tak, jak innym.

Uszczęśliwieni chłopcy skłonili się panu i pobiegli do domu. Nic nikomu o tem nie powiedzieli, ale nazajutrz wstali bardzo wcześnie, wzięli do rąk kijki i poczęli zbierać różne kawałki płócienne lub bawełniane po podworkach i przed domami. Kiedy worek był już pełen, odnieśli go do fabryki. Pan przyjął szmaty i zachęcił ich, żeby jeszcze więcej zbierali i przynieśli.

Chłopcy po raz drugi ruszyli na poszukiwanie szmat, a kiedy przynieśli drugi worek, ten sam pan, którego spotkali dawniej przy fabryce, zważył na wadze szmaty i zapłacił za nie.

Wacek i Stach nie wiedzieli, ile im zapłacono, bo nigdy nie mieli pieniędzy i dla tego ich nie znali. Pobiegli więc do domu, pocałowali matkę w rękę, położyli na stole pierwszy swój zarobek, opowiedzieli, jak się to stało i prosili, ażeby matka choć dzień jeden wypoczęła.

— Dziękuję wam, dzieci kochane.

Matka była bardzo szczęśliwa, że ją tak dzieci kochają i żałują, a drugiego dnia nie wzięła się do prania, lecz poszła ze swymi synkami do ogródka.

Jakże to była radość dla chłopców; nigdy tak im nie było wesoło. Zdawało się, że i słonko tego dnia jaśniej świeciło i kwiatki ładniej kwitły, a wietrzyk przyjemniej powiewał.

— Matulu — pytał Stach — myślę i myślę, a nie mogę się domyśleć, na co temu panu te gałgany? czy on z nich szyje ubranie?

— Nie, bierze je do fabryki i przerabia na papier.

— Jaktó! z tych gałganów robi się papier? To rzecz ciekawa. Chciałbym to zobaczyć.

— Jak kiedy pójdę do fabryki — rzekła matka — to poproszę wuję, który tam pracuje, żeby ci pokazał, jak to się robi.

Marya Weryho.

ZAGADKA REBUSOWA.

Z litery wojsko, nieraz w człowieczej postaci
Aniołem jest pociechy dla cierpiącej braci.

ŁAMIGŁÓWKA KWADRATOWA.

A	1
B	.	2
C	.	.	3	.	.	.
D	.	.	.	4	.	.
E	5	.
F	6

W 6 rzędach oznaczonych literami A, B, C, D, E, F, ułożyć w każdym wyraz sześciogłoskowy, którychby litery wskazane liczbami od 1 do 6 włącznie składały nazwisko bohatera w starożytności. Sylaby: ri—hen—le—ryk—lok—bos—man—bra—da—mar—les—kał—tek. Znaczenie wyrazów: A. Imię mężkie. B. Miasto w Hiszpanii. C. Mędrzec żyjący przed Mahometem. D. Kwiatek z rodziny fiołków. E. Wyspa na morzu Egejskiem. F. Miasto w Szwecyi.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 24-go

Zagadki homonimu: K — w — k^L Kawka.

Łamigłówniki kryształowój:	R
	N o s
	Ł o m ż a
R o m u l u s	
P a l m a	
Ł u k	
	s

Skrzynka do listów.

Oddawna już nic nam nie sprawiło takiej przyjemności, jak list **Prawdy**, o jej umyśle zarówno jak i o sercu korzystnie świadczący. Tak czytać, dziewczeczko droga, taką z czytania korzyść osiągać, jest to czytać w całym znaczeniu tego słowa. Że to umiesz, dużo w tem zasługi autorki, która piękną pracą swoją taki wpływ na ciebie wywarła, ale i twojej zasługi niemało. Nam pozostaje tylko uściśnić taką czytelniczkę i wyrazić życzenie, abyśmy podobnych jak najwięcej mieli.

Nie, **Czarnotko**, pseudonym wcale nie brzydki (tamten za długi) i nie wątpimy, że znajdziesz rówieśniczki chętne do korespondowania z tobą.

Orzeł czubaty niech także o tem nie wątpi; przypominamy wszakże kochanym naszym korespondentom, że po jednym tylko na raz liściku przesyłać można.

Siostrzyczka **Horpyny** dowie się niedługo, co było w „**Książeczce Władzia**“. Szczerze nas to cieszy, że drukowane w Wieczorach powieści tak trafiają do smaku młodym naszym czytelnikom. „**Nieznajoma pani**“ całusem odplaca za całus.

Kulce Śniegowej dziękujemy za obietnicę podzielenia się z nami wrażeniami; prosimy by jej dotrzymała. Około „**Kolonij letnich**“ już się ludzie krzątają, już i my także przypominaliśmy je dobremu sercu naszych czytelników. Wystawy obecnie niema żadnej, prócz, ma się rozumieć, stałej „**Wystawy Sztuk Pięknych**.“

I mybyśmy także pragnęli, **Ogrodniczko**, zobaczyć owe kwiaty, które tak kochasz i widocznie tak umiesz pielęgnować, skoro przychodzą do zdrowia nawet takie, które „na śmierć dysponowały.“ **Gołąbka** szczerze się ucieszy z przysłanej jej gałązki jałowcu i przyłączy ją bezwątpienia do leżącego pod szkłem na jej biurku bukietu ślicznie zasuszonych kwiatów.

Konik polny z Pol. może dowie się niedługo, jak się „**Dzieci**“, bawiły na wakacyach.

Łacinnik dobrze rozwiązał zadanie arytmetyczne; mamy też nadzieję, że równie dobrze odpowie na zadanie konkursowe.

Aż miło widzieć taką zadowoloną **Trzcinke!** Przrzeczenie napisania wypracowania „jeszcze staranniej“ dowodzi, że miła nasza korespondentka pojmuje obowiązek ciągłego doskonalenia się...

Halina i Złota Pszczołka przysłały nam liściki, które w swoim czasie pójdą do druku; od **Jaskółki z nad Wili** otrzymaliśmy zaś łamigłówkę.

Że siedmioletnia **Srocza** jest najroztrzępańszą ze znanych nam sroczek, temu nie przeczymy wcale; ale dla czegoż nie mieliśmy jej postać żądanych numerów?

Trójkolorową Koteczke prosimy, jak również wszystkich korespondentów, aby zawsze wymieniali w swych listach nazwisko i adres obok pseudonimu, bo wtedy tylko zadość uczynić możemy ich życzeniom.

Cierpliwości, kochana **Synogarliczko!** nie zapomnieliśmy o tobie, lecz liścików takie mnóstwo, które muszą czekać kolei, bo jakże innych również miłych korespondentów krzywdzić, dając w pierw do druku te, które później nadeszły? Lecz na znak zgody całujemy cię serdecznie i zapewniamy, że na twój wkrótce kolej nadejdzie.

Dziękujemy ci serdecznie za twój liścik, **Benjaminu!** każdy dowód pamięci twojej jest nam bardzo miły. Radzibyśmy widzieć twoją siostrę, ale pragnęlibyśmy także, żebyś nas sam odwiedził. Rozumiemy, co to za radość powrót do domu na wakacje starszego brata. **Gołąbka** jest na wyjeździe, za pamięć ci dziękuję i wraz z nami uściśnienia przesyła.

Ucieszyliśmy się niezmiernie, kochana **Zorzo**, wiadomością że już powróciłaś do zdrowia. Wyobrażamy sobie jak czas przeszedł ci przyjemnie w miejscu gdzie byłaś. Radzi jesteśmy z liściku młodszej twojej siostrzyczki, pismo jej jest bardzo dobre, a twoje pozostało jak dawniej foremne i czytelne, czekamy też dalszych waszych korespondencyj ściskając was obie serdecznie. — Literatury powszechnej polskiej nie możemy żadnej zalecić. Bo są dwie;

jedna niewłaściwa dla młodych panienek i druga nie wiele warta. Literatura powszechna francuska, najczęściej używana jest **Menechet'a**. Ostatni tom „**Cahiers d'une elevée de Saint-Denis**“ można oddzielnie kupić.

Żałujemy bardzo, że **Mamusiną Koteczke** męczy koklusz, lecz pocieszamy się, że gdy wyjedzie z miasta, prędko kaszel przejdzie. Liścik twój bardzo nas ucieszył jak również wiadomość o rodzeństwie, przytem prosimy niech **Koteczka** pamięta, że swym liścikiem tak ślicznie napisanym zawsze nam wielką sprawi przyjemność.

Kochane **Wiosenna Chmurko**, **Sosnowa Igiełko**, **Rózo Edenu** i **Margerito!** Przeczytawszy wasze odezwy zaraz wam odpisuję. **Chmurko**, jakie nauki najlepiej lubisz? **Igiełko** droga, na jaką chodzisz pensję i gdzie mieszkasz? **Rózo Edenu** i **Margerito**, śliczne macie imiona. Donieście mi jak wyglądacie i wiecie macie lat? Kochająca was **Złota Pszczołka**.

Droga Kujawianko! Dziękuję ci za twój liścik. Z nauk najlepiej lubię literaturę i fizykę. Wieczory również podobają mi się bardzo, tak je pokochałam, że nigdy się z nimi nie rozstanę. „W dziewczyczych lasach Ameryki“ zaczęłam czytać dopiero, gdy będzie koniec. Pisuj do mnie często, kochana siostrzyczko, i donieś mi gdzie mieszkasz i czy masz rodzeństwo, a teraz przyjm milion uścisków od **Niezapominajki z nad Warty**.

Kochana hr. **Manoni!** Ja także bardzo lubię Wieczory, cieszę się wiosną, mieszkam na Ukrainie, a moją przyjaciółką jest **Jaskółka z nad Tykicza**. Obiedwie przesyłamy ci serdeczne pozdrowienie i prosimy, napisz nam, co ci się najwięcej podoba w Wieczorach. Twoja **Pierwiosnek Ukraiński**.

Miła **Czteroooczko!** Jeśli zgadłam, mieszkasz w Warszawie, nazwisko twe zaczyna się na **K**. Mam nadzieję, że mi doniesiesz wkrótce czy się nie mylę, tymczasem zaś przyjmij serdeczne uściśnienia od nieznannej **Stokrotki z nad Pilicy**.

Kochane moje **Kujawianko** i **Sosenko!** Na imię mi **Jula**, mieszkam w gub. **Kijowskiej**. W Wieczorach bardzo mi się podobają „**Listy z wyspy Atlanty**.“ **Tobie Sosenko** dziękuję serdecznie za liścik. Donieś mi co o sobie. Ja mam lat 12 jestem blondynką o niebieskich oczach. Mam nadzieję, że nadal będziem do siebie pisywały. Czekam z niecierpliwością odpowiedzi. **Biała Ostróżka**.

Kochana **Biała Niezapominajko**. Pierwsza piszę do ciebie, może się niedługo zobaczymy, zmieniłam mój pseudonym, domyśl się, kto się ukrywa pod imieniem **Bzdurki** lub **Centki**.

Kochana **Horpyno!** Dziękuję ci bardzo za liścik. Donieś mi, gdzie przepędzisz wakacje? Czego się najwięcej lubisz uczyć i co ci się w Wieczorach najwięcej podoba? Posyłam ci szaradę i serdecznego całusa. **Niezapominajka z nad Warty**.

Kochana **Śnieżyczko!** Piszę do ciebie w nadziei, że zechcesz mi odpisać. Nazywam się **Zosia**, mam lat 10, mieszkam na wsi, uczę się w domu. Odpisz mi prędko i donieś co o sobie. **Droga Sosnowa Igiełko!** Chciałabym korespondować z tobą, ponieważ jesteśmy w równym wieku. Donieś mi czy lubisz się uczyć, bo ja bardzo. Ściskam cię. Twoja **Pieszczotka z nad Buga**.

Kochana **Ciszo Wieczorna** i **Mrówko z nad Warty!** Donoszę, że numer trzeci czeka zawsze na przybycie miłych i pożądanych gości z **Nowego-Swiata**. Koncert jeszcze do skutku nie przyszedł. Uściskaj twoją siostrę, **Kujawiankę**. Całuję cię serdecznie i przesyłam łamigłówkę. **Mrówko z nad Warty**, wiem, że jesteś **Gutką Z**. Zgadnij od kogo o tobie słyszałam? Na imię mi **Zosia** i mieszkam nad **Bzurą**. Cieszyłabym się bardzo, gdybyś mi niedługo odpisała. **Wesoła Leśmierzanka**.

Kochana **Kujawianko!** Pochodzimy więc z jednych okolic. Mam lat 11, mieszkam pod **Nieszawą**, obecnie przebywam i uczę się u cioci z moją kuzynką. Bardzo lubimy kwiaty, mamy więc ogródki, które same uprawiamy. Czekam twego listu. **Fiolek Kujawski**.